ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Czerwca | Nro 23. | Roku 1842.

KOCHANY WUJASZEK.

Śmieszny ktoś w przeszłych »Rozmaitościach« ogłosił dzieje swojego stryjaszka. Nie przeczę, że to jakiś dziwnie nudny był stryjaszek, co mu tak życie zakwasił, ale nié ma o co się użalać, bo skoro ten nieznośny stryjaszek dał mu majątek, i już starzeje się i z sił opada, toż będzie mógł jeszcze użyć świata po jego śmierci i być młodym na starość, gdy nim nie był za młodu. Wziąć taki piękny majątek, i nie być wdzięcznym! to nie ładnie. — Otóż żeby naprawić to zgorszenie, które zrobiły skargi na nieznośnego stryjaszka, ja państwu opowiém jakiego to ja mam wujaszka.

Prawdę mówiąc, ja sam nie wiém czy on mi wuj, czy co innego, ale mi się z dawna wujaszkiem nazywać kazał, a że kochany z niego wujaszek, więc ja go zawsze tak nazywam i nazywać będę.

Jak mogę najdaléj zasięgnąć pamięcią, miałem matkę, osobę cienką, chudą, ale to bardzo chudą, bladą, ale to bardzo bladą, i nudną, bo zawsze tylko szyła a płakała. Chciałem jeść, płakała; byłem wesół, skakałem, biegałem, płakała. Chodziła zawsze czarno. Mieszkaliśmy w małym bardzo domku, z bardzo małym ogródkiem, po którym i biegać nie było gdzie — a w domku było prawie pusto.

Jednego ranka zajechał jakiś żyd brudny bryczką przed nasz domek, oddał list, nad którym matka jeszcze więcéj płakała, i upakowawszy — mylę się, bo nie było co pakować — ale zebrawszy się, to jest wdziawszy na mnie najlepszą koszulkę i jedyną sukienkę, którą miałem, wsiadła ze mną do bryczki, i jechaliśmy daleko, daleko, długo, długo, znudziłem się okropnie, bo bryczka trzęsła i turkotała, w budzie było ciasno i duszno, proch wielki na drodze, a matka ciągle tylko łzami się zalewała, i mnie ściskała.

Wysiedliśmy nakoniec za bramą, weszli w dziedziniec, na którym nas psy opadły, matka mnie zasłaniała, ale ją pokąsały, nim ktoś wyszedł z dworu i psy odwołał, pytał nas czego chcemy, za czém przychodzimy, matka powiedziała, że chce się widzieć z panem.

»Pan nié ma czasu, są goście.«

»Pan sam po mnie przysłał.«

»Powiédz Asani kto jesteś, muszę piérwéj zameldować?«

»Proszę tylko powiedzieć, że kobiéta w czarném, z dzieckiem.«

Wahał się, odszedł, długo się bawił, nakoniec wrócił i wprowadził nas bocznémi drzwiami do pokoju, w którym gości nie było, tylko jeden mężczyzna, pan tego dworu. Obaczywszy go, matka mało nie omdlała z płaczu, a przyszedłszy do siebie, powiedziała mi: »Tego pana będziesz słuchał i szanował; to twój — wujaszek.«

Zająknęła się na tém słowie — jam chciał wujaszka pocałować w rękę, on mnie odepchnął — »z daleka, z daleka, bo mnie zwalasz« — i zadzwonił; wszedł służący, wujaszek coś mu poszepnął i odszedł do gości.

Zaprowadzono nas do oficyn do staréj klucznicy, tam zjadłszy trochę kaszy, poszedłem spać na sienniczku pod piecem. Rano gdym się obudził, matki już nie było. Klucznica ani mnie zczesawszy ani umywszy, jak matka robiła, kazała mi wstawać i iść gęsięta paść. Ta robota podobała mi się piérwszéj godziny — boso biegać, nie było

dla mnie nic nowego. W drugiéj godzinie zapomniawszy o gęsiętach, poszedłem się bawić w ogród — ale klucznica zawołała i pogroziła, że jeść nie będę, jeźli jedno gąsię zginie — to co innego; jam już wiedział co to jest nie jeść — rad, nie rad więc chodziłem za gęsiami w pogodę, a w słotę darłem piérze w pokoju klucznicy, która nieraz, gdym piérze rozsypał, zasnął nad niém, albo co złasował, dobrze mnie wytrzepała.

Ludzie, którzy przychodzili do klucznicy albo mnie na dziedzińcu widzieli, powiadali, żem ładny chłopiec, żem bardzo podobny do pana — niektórzy droczyli się ze mną; jam ostro im się stawił, na pytania śmiało odpowiadał. Musieli donieść panu, że dowcipny ze mnie chłopiec, bo mnie odtąd kazał często wołać do siebie, gdy gości nie było, i długo się bawił moją rozmową. To mnie ośmielało, żem począł różne wyrabiać figle i wybryki, i nawet klucznicy już się nie bać, a pan coraz lepiéj mnie za to lubił.

Tak było aż do czasu, w którym pan się rozchorował. Powiadali we dworze, że bardzo chory, że pewnie umrze, choć nie widziałem, żeby się kto smucił. Przyjechał ktoś, powiedzieli, że to doktor, trzeciego dnia przyjechał i ksiądz proboszcz z dzwónkiem, a ludzie na dziedzińcu klękali. Może w godzinę potém, zaprowadzono mnie do pana. Proboszcz i doktor byli przy łóżku. Pan nie mógł się podnieść, kiwnął tylko, żebym się zbliżył i położył mi rękę na głowę, a klucznicy kazał żeby mnie zaraz obszyła i oporządziła. Pan przyszedł potém do zdrowia, ale ja już zostałem we dworze, miałem swój pokój, swoje łóżeczko i piękne sukienki — ludzie nazywali mnie paniczem, a ja pana wujaszkiem. Klucznica już nie śmiała mnie bić, ja téż za to, ilem razy ją postrzégł, pokazywałem jéj język. Moja matka przyjechała i osiadła w moim pokoju, ale mi ją nie kazano nazywać matką, tylko boną. I znowu musiałem po dawnemu czesać się, myć, mówić pacierz, którego byłem już trochę zapomniał — ale to nie długo trwało, bo matka sobie umarła, a do mnie przyjęto bonę francuzkę. Za to jestem wujaszkowi najwdzięczniejszy, bo choćem się późniéj nic nie uczył, jestem człowiekiem światłym, umiejąc po francuzku lepiéj niż po polsku. I to opowiadanie, rozumie się, żem pisał po francuzku, tylkom dla was kazał przełożyć, bo jeszcze nie tyle u nas wzniosła się oświata, żebyście wszyscy po francuzku umieli.

Wesołe też to było życie u mego wujaszka. Codzień goście, a sama wyśmienita młodzież albo starzy co prowadzeniem się wiecznie do młodzieży należeli, więc śmiéchy, hulki, śpiéwy — a jakie śpiewy! nie godzinki — obiady, polowania, a zawsze kieliszek w robocie. Wujaszek powiadał często: »Piję jak pijał mój ojciec, i ty chłopcze pij«, i nalewał mi wina.

Temu téż wczesnemu wzwyczajeniu winien jestem mocną głowę, że mnie dziś nikt nie przepije, i nigdy mi nie szkodzi. Byłem każdéj zabawie przytomny, bo się téż mną wszyscy bawili i nie wystrzégali się mnie, jak to z innémi dziećmi robią, co wcześnie zaostrzało moję pojętność i ciekawość — i dla tego byłem zawsze mędrszy nad lata. Spiéwałem z nimi i ich to śmieszyło, że taki mały chłopiec już takie rzeczy śpiéwa — kłamałem, znajdowali w tém dowcip — mieszałem się do każdéj rozmowy, rozprawiałem o wszystkiém, czegom nie rozumiał, powiadali: »To jenijusz w tym chłopcu.«

Drugim dzieciom każą witać i żegnać, kłaniać się, siedziéć prosto i spokojnie, słuchać każdego, uważać, żeby kogo nie trącić, nie nadeptać — jam robił co mi się chciało, im więcéj mi co nakazywano, tém pewniéj tego nie zrobiłem, i słyszałem, jak wujaszek mówił: »Cieszy mnie to, widać, że chłopiec będzie miał swoją wolę.« W domu wszyscy mnie się bali, bo do kogo miałem urazę, na tym pewniem się zemścił jakim bolesnym albo dokuczliwym figlem — a z figlów zawsze się kochany wujaszek uśmiał i dziwił się, jak można na dziecko za figle się gniewać. Byłem téż i najzręczniejszym szpiegiem domowym — co tylko się stało, ja musiałem wiedziéć i zaraz biegłem z tém do wujaszka, bo plotki kochany wujaszek dziwnie lubił.

Prawda, że kochany wujaszek, jak był wesół i miły z przyjaciołmi a srogi dla ludzi i chłopów, tak i ze mną nie zawsze się obchodził łagodnie. Jeźli był w złym humorze,

nie raz go rozgniewało to, co dopiéro pochwalał, i kiedym się najmniéj spodziéwał, nie raz mnie zbił harapem albo złajał, a on kiedy łajał, to słów obelżywych nie szczędził. Byłoto jego systema, że ze sługami, z chłopstwem i z dziećmi trzeba ostro postępować — i święte słowa wujaszka! Kto nie był bity i łajany, ten na całe życie dotkliwy, nie umié znosić przeciwności — a każde słówko obraźliwe go zmiésza, zawstydzi, zmartwi, — gotów się nawet bić o nie i życie narazić.

Mnie nikt nie jest w stanie poniżyć ani zawstydzić. Niech mi powié najobelżywsze słowo — »sameś taki« — i odchodzę spokojnie — a z kijami tom się był tak oswoił, że wujaszek bił, a ja swoje dokazywał — i prędzéj on się zmęczył biciem, jak ja dokazywaniem. — Za to téż tam gdzie człowiek prawdziwie wykroczył, dobroć kochanego wujaszka w całym blasku jaśniała.

Pamiętam, miałem może lat jedénaście, robili Żydzi krawcy w domu — jeden czeladnik, któremu byłem świécę podsunął pod pejsy, posłyszałem jak mówił do lokaja: »Ten *junge purec* na urwisza rośnie.« — »Poczekaj żydzie, pokażę ja ci urwisza.« Wbiégam do pokoju wujaszka, porywam strzelbę ze ściany: »stój żydzie, będę strzélał do ciebie.« Żyd myślał, że to żart, ale i przed żartem w nogi, a ja pal! i nabój śrótu ptasiego wpakowałem mu — przypadkiem tylko w łydkę.

Coby drugi wujaszek był zrobił z tego za sprawę, a mój wujaszek złajał strzelca, że nie zamknął pokoju, gdzie były strzelby, żydowi zapłacił za kuracyję i za ból, i wyperswadował mu, żem ja nie wiedział, iż strzelba była nabita — o wiedział wujaszek dobrze co się święci, bo jeszcze tego wieczora, gdym udał, że spię na sofie, opowiadał rzecz, jak się stała, gościom, i dodał: »Zuch chłopiec, nie da sobie w kaszę nadmuchać nikomu, a jak mierzył dobrze!«

Guwernerów miałem różnych, ale kochany wujaszek sam im mawiał, żeby mnie nie męczyli naukami. — »Młody jeszcze, będzie miał czas się uczyć — zresztą na co mu się mozolić i natężać — zdatności są — dowcip i rozum widać we wszystkiém — on już dziś każdego w pole wywiedzie — a będzie miał majątek, na co mu nauki!«

Raz trafił mi się jakiś guwerner stary niemiec zatabaczony, który się uwziął zrobić ze mnie literata. Obaczymy komu się uprzykrzy. Żem biegał a nie uczył się, za pokutę zamknął mnie w pokoju samego. Miałem w kieszeni nóż składany — jakem wziął wpychać między kafle, pół pieca mu rozebrałem, a to w zimie było. Przeniósł się do innego pokoju i nazajutrz przywiązał mnie z książką do krzesła, a sam siadł w drugim kącie do pisania — jam darł kartki, zwijał kulki, i kulkami strzélał mu z palców do nosa. Jego komentarze do Cycerona podarłem na ładunki do prochu, kitajkę, którą sobie kupił na kołdrę, na chorągiewki, nakoniec w jego perukę i flanelowy kaftanik ubrałem pudla i kazałem mu tak tańczyć przed gankiem, aż się ludzie zbiégali.

Skarzył się przed wujaszkiem, że sobie ze mną rady dać nie może. Kochany wujaszek odpowiedział, że to dowód jego niezdatności w prowadzeniu młodzieży, i tabacznik podziękował za służbę.

Na jego miejsce przyszedł wyśmienity chłopiec młody, z którym bardzom się zaprzyjaźnił — na tegom nigdy plotek przed wujaszkiem nie robił, ani on na mnie; trzymaliśmy się zawsze razem — ale też od niego nie łacinym się uczył. Oj użyłże ja z nim świata! Co to za zgodność humorów i sposobu myślenia! gdyby nie to, że pojechawszy po książki do Lwowa, wrócił słaby i tak się w domu rozchorował, że go musiano odwieźć do szpitalu, gdzie umarł w pół roku, bylibyśmy się nigdy nie rozstali.

O szkole nigdy wujaszek słyszéć nie chciał. Znajdował, że plan nauki nie potém, że wiele uczą rzeczy nie potrzebnych, ale gdym miał już lat 17, wysłał mnie do Lwowa dla poloru. Życzył sobie, żebym się uczył tańcować, fechtować, śpiewać, języka angielskiego. Jego troskliwość o mnie podała mu i tu myśl, na którąby kto inny był nie przyszedł. Może uważał we mnie już skłonności, których po sobie sądząc, mógł spodziéwać się i we mnie. Abym się nie sparzył w ogniu — na złym wyborze nie wyszedł jak mój ostatni guwerner, wujaszek przezorny wiedział gdzie nająć dla mnie mieszkanie, dobrze mi było w tym domu — ale żem na wyborze kochanego wujaszka nie

przestał, to się rozumie. — Zapoznałem się z najlepszą młodzieżą — żyłem wesoło, bom żył jak mój kochany wujaszek w domu. Wujaszek dostarczał pieniędzy — mam téż zawsze szczęście szalone w karty — tak dwa łata piorunem przeleciały. Użyłem świata! Wkońcu jakimś przypadkiem zaczęło mi się nie wieźć — chcąc swoje odegrać, zgrałem się był jak skrzypce i byłem bez grosza, kiedy kochany wujaszek ztęsknił się za mną, i przysłał po mnie. Wiedziałem, że się w domu jego nie znudzę — jednegom się obawiał, żeby mnie do gospodarstwa nie zaprzągł — bynajmniéj. To nie z nieznośnym stryjaszkiem sprawa. Kochany wujaszek sprawił mi konie, psy, ludzie, a gdzie jadę i co robię, nie pytał.

Najweselej było w jego domu, więc tu najczęściéj bawiłem. Żyliśmy z sobą jak bracia, nic przed sobą nie mieli tajnego, i wszystkie uciechy były wspólne. W niczém powaga wujowska mi nie ciężyła, a gdzie tylko była potrzeba, wujaszek kochany z pomocą przybywał. Jeźlim się zgrał, pożyczył a dał, żebym miał czém się odgrywać. Chłop jeden przydybał mnie w swojéj chałupie jak kota przy mléku i jak kota obił. Nie chwaliłem się z tém przed wujaszkiem, nie wiém z kąd się on tego przecie dowiedział. W miesiąc potém chłopa oddalono ze wsi, a mnie odtad nikt wstępu do chałupy nie bronił.

Do małżeńskiej niewoli kochany wujaszek ani sam się skłaniał, ani też mnie namawiał, przyjacielowi tylko jednemu przyszło raz do głowy, chcieć mnie ożenić, a jeszcze wybrać mi panienkę, posażną wprawdzie i ładną, ale cichą, skromną, pobożną — jabym się do tygodnia na śmierć z nią zanudził. Zawiózł nas tam. Drugiego wieczora, zostawiwszy wujaszka, żeby zabawiał moją piękność, jak się kopnę w sąsiedztwo, jak założę bank — jak zgram szlachtę okoliczną! Ojciec panny odmówił mi jéj. Kochany wujaszek sam się śmiał i z siebie i ze mnie.

Projekt kochanego wujaszka już był lepszy — panienka nie młoda, bogata, sama się rządziła; tu można było się obłowić, wymódz zapisy — a późniéj niktby się i nie dziwił, gdybym ją porzucił. Wszystko szło najlepiéj — kiedy licho nadniosło jakąś jeszcze starszą kuzynkę — ta wzięła wymyślać na wujaszka i na mnie, przekładać, odradzać, i moja narzeczona porobiwszy nawet do wyprawy przygotowania, cofnęła dane już słowo.

Właśnie w zły czas zdarzył nam się ten zawód, bo już bardzo wtedy kochanemu wujaszkowi dokuczały długi i wierzyciele. Długośmy się im opędzali, ja szczególny mam dowcip w zbywaniu ich niczém, kołysaniu nadziejami i zaręczeniami, wypraszaniu zwłoki, unikaniu z nimi spotkania, i ktoby z państwa potrzebował, może śmiało mnie użyć, mam w tém wprawę wielką.

Ale struna długo naciągana, pękła nakoniec, zabrano kochanemu wujaszkowi i dobra i ruchomości, przedano — reszta co została, jakoś się także rozeszła, i teraz obadwaj nic nie mamy — ale mi nie żal, bośmy użyli, i nie jestem tak niesprawiedliwym, żebym narzekał na wujaszka, że stracił majątek, który mnie się miał dostać, bośmy tracili razem. — Kochany wujaszek!

Nie mam nic, ale się tém nie troszczę. Człowiek zręczny i rozumny zawsze i wszędzie sobie da radę. Są karty, są młodzi panicze, którym radzić i których prowadzić można. Kochany wujaszek, w pierwszém nie tyle szczęśliwy, w drugiém mniéj zręczny odemnie, osiadł przy dawnéj przyjaciółce, ta go mieści i żywi, a co może u niéj skubnąć, tém dzieli się ze mną — kochany wujaszek!

Gorzéj, że zdrowia nié mam — w czterdziestu leciech czoło odkryte, włos siwy, zębów nie ma — ale któż wié o tém? Peruczka zgrabna, zęby wstawione, pomada czerniąca i zawsze rzeźki i młody chłopiec. Ból chodzi po kościach, na wilgoć bardzo dokucza. Ale wujaszek powiada, że nié ma czego żałować, bom użył świata! Niech i tak będzie — kochany wujaszek! ?.

MOLIÈRE
NA DWORZE LUDWIKA XIV.

Kto zna życie Moliéra, temu zapewne wiadomo, w jakiém poważaniu był ten poeta na dworze wersalskim. Anekdotę o sławném śniadaniu Moliéra z Ludwikiem XIV. może nie jeden słyszał, ale potrzeba znać dokładnie etykietę dworu francuzkiego, aby osądzić całe znaczenie tego śniadania.

Za panowania Karola IX. i Henryka III. etykieta dworska bardzo się wzmogła. Przywiązywano do niéj wiele wagi. Henryk IV. za nadto był czułym i namiętnym, aby się podawać ceremonijałowi ograniczającemu wolność. Ludwik XIII melancholik i dziwak wolał często usługę swego szatnego, niż nadskakiwanie wielkich panów. Ale Anna austryjacka na dworze hiszpańskim wzrosła w etykiecie, któréj król jéj syn, nie tylko wrócił we Francyi dawną przewagę, ale jeszcze ją podniósł. Jako słońce jaśniał między swojémi gwiazdami, ustawiał je około siebie w dokładnéj symetryi i wmówił w nie, iż innego światła mieć nie mogą, jak tylko odblask promieni, którémi on sam jaśnieje. Król mierzył troskliwie najmniejszy ruch swój, każde słowo było starannie wyrachowane, a najmniejsze zapomnienie się, było występkiem. Całe wychowanie Ludwika XIV., jego wrodzone zdolności pociągały go do nauk i sztuk pięknych. Jak tylko w Francyi jaki talent się pojawił, natychmiast ściągał go Ludwik na dwór wersalski, aby przyczyniał się do rozgłaszania królewskiéj sławy. Kto chce zostać wielkim monarchą i pamiętne utworzyć stulecie, ten nie potrzebuje więcéj czynić. Bez szczególniejszéj protekcyi Ludwika XIV., Molièr nie byłby nigdy tak wielkim poetą. Jego nieprzyjaciołmi byli wszyscy dworacy i wszystkie piękności, każda z mnogim pocztem wielbicieli. Każdéj chwili zgubić go mogli. Pan de Feuillade za krytykę: *»Szkoły kobiét«*, byłby go kazał zamordować. Gdyby tylko przeczuwano, iż Molièr może utworzyć Tartuffa, w bastyli zakończyłby życie. Gdyby nie wiedział, iż ma protekcyję—byłby zapewne porzucił poezyję — lub ograniczył się na błahych przedmiotach.

Jako pokojowiec dworu, miał Molièr trzy razy na dzień wolny wstęp do króla. Ludwik przyjmował go przyjaźnie, rozmawiał z nim o poezyi, o powodzeniu jego komedyi na scenie, a często się zdarzyło, iż takie rozmowy trwały bardzo długo, podczas gdy król dwoma słowami zbywał wizytujące go książęta. Ludwik lubił Molièra i nie obawiał się zawiści możnych panów, którzyby prześladowali współzawodnika. Dwór cały nie uznawał Molièra godnym swego towarzystwa. Jakież zaburzenie między dworakami sprawił ów dzień, gdy komedyjanta, Ludwik wyniósł do godności książęcéj. Zaledwie własnemu wzrokowi wierzyć chciano. Chcąc opisać to zdarzenie, piérwéj słów kilka powiém o etykiecie, jaka się odbywała na pokojach Ludwika XIV. Tylko świadomi zwyczajów dworskich, mogą dokładnie osądzić postępowanie Ludwika. Piérwszy pokojowiec sypiał na nizkim łóżku u stóp króla. Wstawał o godzinę piérwéj niż król, i nie robiąc najmniejszego szelestu, wynosił się do przedpokoju, gdzie się ubiérał; potém budził wielkiego podkomorzego. W ćwierć godziny przed czasem, który król naznaczył, aby go obudzono, wchodzili obadwaj do pokoju, zapalali ogień, gasili nocne światła, otwiérali okiennice, we wszystkiém przestrzégając jak największą ciszę; w oznaczonéj chwili, piérwszy pokojowiec zbliżył się do łóżka, przemówił: *»Sire!* już czas.« Potém otwiérał podwoje paziom, z których jeden biégł do piwnicy, drugi do kuchni, gdzie rozkazywał śniadanie przynieść królowi, trzeci pozostawał przy drzwiach i tylko tych wpuszczał, którzy mieli przystęp do łóżka króla. Ich liczba w roku 1664 była mała; brat króla, książęta: Kondeusz, Conti, Longueville, Vendome, Beauford, parowie: Lauzun, Guiche, Vardes i Danyeau, (trzej ostatni w roku następującym utracili tę szczególniejszą łaskę) spowiednik króla, lékarz i chyrurg nadworny. Gdy brat króla wchodził, otwiérano obadwa skrzydła podwoi, dla innych tylko jedno. W milczeniu wchodzili wszyscy i w milczeniu zbliżali się do łóżka, w którym król jeszcze leżał. Gdy się podniósł, piérwszy pokojowiec zléwał mu ręce wyskokiem z wina. Piérwszy szambelan podawał mu święconą wodę, król się przeżegnał i już było wolno mówić do niego. Przez ćwierć godziny rozmawiał z przybyłymi. Potém przychodził fryzyjer Quentin, podawał królowi kilka peruk, król jednę wybiérał sobie a pan Quentin odchodził spiesznie, aby ją do głowy królewskiéj lepiéj ułożyć. Król powstaje, powoli wciąga pantofle, wdziéwa negliż podany mu przez wielkiego podkomorzego, i usiada w poręczowém krześle przy palących się ogniach. *Monsieur* (brat króla), podaje ręcznik końcem w wodzie zmaczany, po obu stronach króla stoją paziowie, trzymając kosztowne naczynia z wodą; król umywa sobie twarz, oczekując cérulika, który po ogoleniu zléwa jego wąsy pachnidłami. Ta chwila jest dla przytomnych największéj wagi, gdyż tylko wtedy wolno było przekładać prośby. Wielki szambelan zdéjmuje szlafmicę z królewskiéj głowy i w téjże chwili oświadcza król, że raczy dać piérwsze posłuchanie.

Paź roztwiéra podwoje; mający wstęp do dworu wchodzą, i oddają wizyty królowi. Panowie: Mazarin, Villeroi, Beringhen, i wielu innych poufnych króla, są także pomiędzy gośćmi. Śród tego zgromadzenia Quentin różuje króla, który go sam czasem w téj służbie wyręcza. Pokojowiec trzyma źwierciadło. Gdy tak toaleta królewska zwolna się odbywa, przemawiają do króla zebrane na posłuchaniu osoby; przemowa idzie

za przemową, nowinami dworskiémi bawią króla. Wszystko ku temu zmiérza, aby go w dobry humor wprowadzić. Chwila ta jest dla pochlebców nader korzystną. Wtedy to korzystając z poufałości króla, starają się owi pochlebcy wśliznąć w jego zaufanie. Swobodnie puszczają wodze swojéj śmiałości; gdyż król bez peruki niéma ani świetności, ani blasku. Skoro zaś peruka nakryje królewską głowę, natenczas znika wszelka poufność, łuna majestatu otacza skronie królewskie; pokojowce przynoszą królowi podczas piérwszego posłuchania jedną suknię po drugiéj. Wtém król woła: »Moja izba« i następuje drugie posłuchanie.

Posłowie, książęta, parowie, marszałkowie, prałaci wchodzą do króla; między nimi i Rasyn. Aby być na tém drugiém posłuchaniu, nie trzeba wyraźnego przyzwolenia króla. Imiona osób, które nie bywają codziennie na pokojach królewskich, podaje pokojowiec wielkiemu szambelanowi, ten zapowiada królowi, a milczenie jego jest znakiem przyzwolenia.

Gdy się to dzieje, król siedząc w poręczowém krześle, zaczyna się zwolna ubiérać. Każda szata długo przechodzi z rąk do rąk, nim się dostanie do JKMości. Najprzód podają mu spodnie i szkarpétki, które król sam wdziéwa, poczém zaciąga pokojowiec jedwabne pończochy i trzewiki z dyjamentami u sprzączek i zawiązuje podwiązki. Jeden z wyższych urzędników kuchni królewskiéj, podaje wielkiemu podkomorzemu bulijon w kosztownéj czarze, podkomorzy stawa ją na stoliku obok króla; i to jest piérwsze śniadanie Ludwika XIV. Dwaj wysocy urzędnicy przynoszą wino i wodę, a trzeci znowu serwety. Wielki szambelan nadpija trochę wina i wody i podaje królowi, który sobie sam w kielich naléwa. Trzymać i podawać serwetę królowi, jest zaszczytném wyszczególnieniem, i tylko brat królewski albo następca tronu mają do tego prawo. Podczas podawania sérwety, brat królewski lub następca tronu zdéjmuje kapelusz i ściąga rękawiczki; wielki szambelan zwraca się ku nim z największém uszanowaniem i bierze od nich kapelusz i rękawiczki; tylko wielki szambelan jest godzien, aby *Monsieur* z rąk jego przyjął serwetę, wielki szambelan zaś bierze ją od niższych urzędników.

Po śniadaniu zrzuca król z siebie *robe-de-chambre*. Wielki szatny bierze za prawy a piérwszy pokojowiec za lewy rękaw u sukni i rozbiérają króla. Ten zdéjmuje relikwije z szyi i podaje piérwszemu pokojowcowi, który je wraz z zégarkiem i kieską do gabinetu odnosi. Poczém wdziéwają koszulę na króla. Akt ten jest nader zajmujący. Podawać królowi koszulę mogą tylko *Monsieur* (brat królewski), książęta Kondeusz i Conti, i parowie Longueville, a pod ich nieobecność wielki podkomorzy. Koszula idzie także przez kilka rąk, nim przyjdzie do tego, który ma wyłączne prawo podawać ją królowi. Na śrébrnéj tacy przykrytéj białą jedwabną materyją podaje królowi koszulę. Dwaj pokojowce trzymają przed królem *robe-de-chambre* nakształt firanki; piérwszy pokojowiec wdziéwa prawy a paź lewy rękaw koszuli na ramię króla. Król podnosi się z poręczowego krzesła, wielki podkomorzy przybiéga, i pomaga królowi w zawiązywaniu tasiemek; poczém odchyla się zasłona, i natenczas wolno wszystkim obecnym oglądać króla w koszuli, którą wdział do połowy ramion.

(Dokończenie nastąpi.)

Szkoły ludu angielskiego.

Fryderyk Raumer, który opisał tegoczesną Angliję, podaje w trzecim tomie dzieła swego o tamtejszych szkołach ludu następujące szczegóły: »O potrzebie powszechnego wychowania ludu, zgadzają się w Anglii prawie wszystkie stronnictwa. Edynburski *Review* wyraża się w téj mierze jak następuje: »Na teraźniejszym stopniu ukształtcenia naszego, dla wolności i porządku znaléźć można bezpieczeństwo tylko w stósownem i przyzwoitém wychowaniu narodu. A jednak wiele dowodów przekonywa nas, że pomimo postępów w najnowszym czasie, ani liczba szkół jest dostateczną ani téż urządzenie ich odpowiedne. Podobnież zbywa na środkach do ukształtcenia i opłacania przyzwoicie nauczycieli. Dwie trzecie części dzieci w całéj Anglii, a połowa wszystkich dzieci w Londynie nie pobiéra żadnéj nauki. Anglija zamiast stać na czele tego rodzaju ukształtcenia, zajmuje prawie ostatnie miejsce między europejskiémi narodami. W Manszestrze 49 chłopców ze stu a 57 dziéwcząt nié ma żadnéj nauki; 67 chłopców ze stu, a 88 dziéwcząt nie umié swego imienia podpisać. W dwunastu domach poprawy w Ostkent umiało tylko 4 osób dobrze czytać i pisać, 297 pisało nie poprawnie, a 474 wcale nie umiało. W domach poprawy w Norfolk czyli Suffolk umiało 10 osób dobrze czytać i pisać, 281 pisało i czytało niedokładnie, a 928 zgoła nic nie umiało. Pomiędzy zbrodniarzami było 85 ze stu całkiem nieumiejętnych. Do tego dodać należy, że po niektórych miastach dzieci zawcześnie są niepodległe swym rodzicom, albo że ci ostatni na wychowanie ich są całkiem obojętni. Z sprawozdania w roku 1838 o wychowaniu uboższych klas okazuje się, że w Anglii dla ósméj części ludności dostateczne

są szkoły. W Bethnalgreen (wschodniej dzielnicy Londynu), rośnie ośm do dziesięciu tysięcy dzieci bez wszelkiej nauki. Szkółki niedzielne nie wystarczają nigdzie i nie prowadzą do celu. Bez wielkiéj i wytrwałéj usilności, rządu wynikną z tego zaniedbania dla wszystkich klas najgorsze skutki. Po niektórych miastach pobiera naukę tylko jeden z dwunastu, po innych jeden z dwudziestu czterech, w Manszestrze jeden z trzydziestu pięciu, w Birminghamie jeden z trzydziestu ośmiu, a w Leeds tylko jeden z 41. Podług drugiego wykazu lekarzy o porodach, przypadkach śmierci i t. p. w r. 1840, w piętnastu hrabstwach angielskich i w Walii było 40 mężczyzn ze sta, a jeszcze więcéj kobiet, które nazwiska swego podpisać nie umiały. Z 121,083 zaślubionych, 40,587 mężczyzn a 58,959 kobiet nie umiało pisać. Podobnież nieumiejętnych jest niemal 33 od sta wszystkich mężczyzn, a 49 od sta wszystkich kobiet w całéj Anglii. »Gdybyśmy«, mówi biskup londyński, »przed pięćdziesięcią laty na kościoły i szkoły byli obrócili tylko dziesiątą część tego, co wydajemy na więzienia i domy poprawy, bylibyśmy teraz inne i szczęśliwsze skutki ujrzeli.«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 22. i obejmuje: 1) O użyciu kwasu siarkowego i soli w niedostatku gipsu pod koniczynę i rośliny strączkowe. 2) Niektóre uwagi co do mycia owiec. 3) O różnych praktycznych sposobach ratowania bydła rogatego na wzdęcie zapadłego. 4) O wyrabianiu farby *indygo* z rośliny *rdest* farbiarski *(Polygonum tinctorium)*. 5) Wiadomości czasowe.

Ner 11. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Ustęp z nowéj powieści, przez Adama Gorczyńskiego. 2) Rendez-vous, anegdota z pamiętników pułkownika Wy............ 3) Myśli. 4) Teatr.

Zapowiedziane w »Rozmaitościach« Nr. 8. dzieło: *Wyjątki z powtórnej podróży do Włoch*, przez hr. Antoniego Karśnickiego, opuściło już prasę drukarską. Kto chce przyjemną i użyteczną rozrywkę z dobroczynnym połączyć celem, może nabyć to dzieło w biurze tutejszego »Zakładu ochrony małych dzieci«, gdyż szanowny autor poświęcił niniejszą pracę swoję na korzyść tegoż Zakładu.

Literaturę ormiańską, która równie jak inne zaumarłe, teraz znacznie podnosić się zaczęła, zbogaciło dzieło: O *planetach* w roku zeszłym, przez księdza Hunana, członka Mechitarystów w Wiedniu, byłego misyjonarza, w Soczawie na Bukowinie wydane. Dzieło to polegając na zdaniach najznakomitszych w tym zawodzie autorów, w łatwy i popularny sposób napisane, odpowie niezawodnie zamiarowi wydawcy, by swym rodakom w Oryjencie gruntowną wiadomość téj tak trudnéj gałęzi umiejętności udzielić. — Bliższych szczegółów o nowoczesnéj literaturze ormiańskiéj w ogóle, udzielimy w następujących »Rozmaitościach.«

Nowy wynalazek. Pewien Niemiec nazwiskiem Förster Kösfeld, zajmujący się przemysłem w Westfalii, przełożył radzie pomyślności publicznéj w Brukseli kilka prób produktu, który nietylko asfalt w różnych użyciach zastąpić może, ale nawet o dziesiątą część jest tańszy. Pan Förster wynalazł sposób topienia torfu, i uzyskiwania z niego smołowatego produktu, który co do ochrony drzewa, metałów i t. d. asfalt zastępuje. Rada uznała wynalazek ten za tak ważny, iż do ocenienia wartości jego, komisyję złożoną z budowniczych i chemików mianowała.

W wojsku francuzkiem doświadczają teraz zaprowadzić czaka z drutów metalowych, które są lekkie i wietrzne, a choćby były pogięte, kawałkiem drewna dają się łatwo wyprostować i do formy wracają.

Starodawne tkactwo na Wschodzie. W jednym z kościołów parafijalnych w Saksonii znaleziono aparat, który pochodzić miał z jakiegoś chrześcijańskiego kościoła w Oryjencie. Strój ten przesłano do gabinetu starożytności w Dreźnie, gdzie hrabia Munster przypatrzywszy się mu, poznał, że to jest chelat, czyli zaszczytna szata, jakiéj dawnémi czasy na Wschodzie używano. Pomieniona szata podobna jest do krótkiego hiszpańskiego płaszcza, nie ma całego *Yarda* długości, i składa się powiększéj części z złotego, wraz z arabskim napisem tkanego brokatu. Za dokładniejszém rozpoznaniem okazało się, że ta szata z trzynastego wieku pochodzi. Hrabia Munster na krótki czas przed swą śmiercią napisał o tém rozprawę i przesłał ją Towarzystwu azyjatyckiemu, które ją dnia 16. kwietnia b. r. odczytało. Utrzymuje on, że to jest zaszczytna szata, któréj dawnych czasów na Wschodzie używano, i że ten strój kalifowie arabscy od Sassanidów przejęli. Materyja téj sukni ma tylko niemal 13 calów szerokości, ale warsztat do zrobienia jéj musiał być tak sztuczny, że nawet teraz trudnoby coś podobnego w Europie utworzyć. Sztuka ta była już znana pod Kalifami, jeszcze za czasów Karola Wielkiego i zdaje się, że ją pod nazwą *Taraz* Arabowie od Persów przejęli. Hrabia Munster sądzi nawet, że sławne u Rzymian i Greków materyje babilońskie, były podobnéjże roboty; jakoż nadzwyczaj piękna tkanina, którą w grobach egipskich po-dziś dzień znajdujemy, poświadcza dostatecznie, że tkactwo na kilka tysięcy lat przed Chrystusem było już w wielkim stopniu doskonałości. W zbiorze lorda Munster jest zasłona z meczetu *Saint-Jean d'Acre*, którą zdobyło wojsko Ali Baszy przy wzięciu szturmem téj twierdzy. Zasłona ta okryta jest także napisami i ozdobami arabskiemi, które złotem tak sztucznie są tkane, że żaden europejski warsztat tego dokazać nie zdoła.

Sąd bocianów. »Zawinąwszy do portu w Zejtuni«, opowiada kapitan francuzkiego okrętu, »wysiedliśmy niezwłocznie na ląd tamtejszy. Miałem pomieszkanie w najpiękniejszym domu, który wysokie drzewa otaczały. Nazajutrz spostrzegłem na jednem z tych drzew gniazdo bocianie, a gospodarz oznajmił mi, że się wkrótce młode wylęgną, i że będziemy mieli zabawne widowisko; gdyż on powybierał jaja bocianie, a w ich miast kurze podłożył. Wiadomo, że bociany w greckich miastach są równie jak i u nas przedmiotem zabobonnego uszanowania. Nikomu nie wolno ich niepokoić, wszędzie są pożądanémi gośćmi. W dwa dni po mojém przybyciu, wylęgły się w tém gnieździe kurczęta. Samica przypatrywała się z zadziwieniem tym nieznajomym przybylcom, które pod jéj skrzydłami piszczały. Widać było jawno, że czuła żal głęboki, bo gdy samiec przyleciał i chciał w gnieździe zająć jéj stanowisko, nie ruszyła się z miejsca i tylko smutno nań patrzyła. Bocian odleciał, a po niejakim czasie wrócił znowu, ale i tym razem nie mógł nakłonić samicy do opuszczenia gniazda, w którem ona rozpostartémi skrzydłami młode ukryć usiłowała. A tak gniazdo to stało się miejscem smutku i żalu; w bocianie powstało podejrzenie, chciał więc przemocą wedrzeć się do gniazda; samica usiłowała wprawdzie przeszkodzić mu

w zaspokojeniu tej słusznej ciekawości; jednakże bocian zoczył wreszcie kurczątka, gdyż kilka z nich z pod skrzydeł swéj opiekunki na wierzch wylazło. Wtedy znikła wszelka wątpliwość; bocian przekonał się naocznie, że to nie jego, ale obcego rodu dzieci. Rozgniewany w najwyższym stopniu, zaczął klekotać i poleciał dla zwołania soboru. Jakoż wkrótce zleciało się zewsząd mnóstwo tych ptaków, które klekocąc posiadały na poblizkich drzewach i domach. Obrada była burzliwa i długa; nakoniec wszystkie połączyły się dla wykonania okropnego zamysłu. Całe stado zleciało się na to drzewo, na którém nienawistne gniazdo się znajdowało. Wtedy byliśmy świadkami strasznego sądu. Około gniazda uformowały bociany wielkie koło. Nagle całą chmurą wpadły na obwinioną o zbrodnię samicę i wbiwszy w nią śmiertel.. swe dzioby, zrzuciły trupa na ziemię. Potém przyszła koléj na pisklęta, które również na śmierć zadzióbane, także na ziemię zrzuconémi zostały. Nawet gniazda nie szczędzono, lecz ze szczętem zburzono. Po wykonaniu tego okropnego wyroku, krążyły bociany jeszcze niejaki czas w powietrzu nad pomienioném miejscem, poczém się po jednemu w różne strony rozleciały.

Szukanie małżonki przez gazetę nie jest już w Ameryce rzeczą nadzwyczajną; gdyż nie szczególne już osoby, ale całe miasta i państwa szukają tysiące małżonek przez pisma publiczne. Jedna część Zachodniéj Ameryki północnéj wraz z miastem Chicago nie ma jak 11,000 mieszkańców. Z tych jest 2,500 między dwudziestym a trzydziestym rokiem mężczyzn bezżennych, a tylko 1200 dziewcząt w porze zamężcia, włącznie z témi, którym już lat trzydzieści minęło. Na 1200 mężczyzn 30 lub 40 lat mających, przypada tylko 600 niewiast tegoż samego wieku. A że z tego powodu byłaby połowa mężczyzn na *celibat* skazaną, przeto gazeta: *Chicago-American* szuka kilka tysięcy dziewcząt, które dla pozyskania małżonków do redakcyi pomienionéj gazety zgłosić się mają. Jak widać, rzecz ta idzie w Ameryce *en gros,* i szukać sobie tamże małżonka lub małżonki, znaczy to samo, co szukać sobie służby lub utrzymania. Dla iluż to niewiast nie jest i w Europie zamężcie niczem innem, jak tylko dożywotnem zobowiązaniem się pełnienia wszelkiéj służby!

Słowo honoru. W bitwie pod Waterloo, gdy dzień był już na schyłku, jeden z pułków francuzkich był zmuszony do złożenia broni. Ciężko rannego oficera nazwiskiem Bonnardin, zaniesiono wraz z innemi do biwaku. Oficer ten odzyskawszy zmysły, nie mógł się utulić w żalu, że mu jeden z ułanów angielskich odebrał krzyż, którym go Napoleon pod Wagram zaszczycił. Zwrócił się przeto do angielskiego oficera tegoż pułku i zaczął go zaklinać ze łzami w oczach, aby mu pomieniony krzyż zwrócić rozkazał. Oficer zanotował sobie nazwisko pojmanego Francuza, i dał mu słowo honoru, że się postara o wynalezienie tego krzyża. Po zawartym pokoju wrócił Bonnardin do Francyi; jednakże nie chciał już przyjąć służby, chociaż dla pozyskania pensyi jeszcze mu tylko kilka lat nie stawało. W r. 1830 obudziła się przecież w nim chętka zasłużenia sobie pensyi, ale choroba i inne stosunki przeszkodziły mu w wykonaniu tego zamysłu, aż nareszcie przed rokiem wstąpił jako kapitan do 41 pułku. W niejaki czas potém, otrzymał z Anglii list następujący: »*Monsieur!* Już przez lat dwadzieścia i trzy kupuję sobie ciągle szematyzm wojsk francuzkich, i troskliwie szukam w nim nazwiska Bonnardin. Jeźli wpan jesteś ten Bonnardin, któremu oficer angielski po bitwie pod Waterloo dał w pewnéj sprawie słowo honoru, więc zgłoś się do mnie z dowodami, że nim jesteś w istocie; ja czekam już przez lat dwadzieścia i trzy, i nie mogę uiścić się z mego przerzeczenia. Jeźli zaś nim nie jesteś, więc szematyzm jeszcze dłużéj czytać będę.« Kapitan francuzki zgłosił się niezwłocznie i w kilka dni otrzymał przez poselstwo angielskie, utracony dar Napoleona.

Dumny aktor. Nie raz już wyszydzano w pismach publicznych zarozumiałość aktorów dramatycznych, którzy, zwłaszcza, jeźli im się kilka ról zdarzy, w których się podobają, zaczynają tak bardzo rosnąć w dumę, iż rozumieją, że już świat bez nich obejść się nie może. Zwykle tacy idąc przez ulicę, wznoszą głowę w górę i chcą się odznaczyć poważną miną i chodem. Jednym z takich był aktor nazwiskiem N***. Idąc przez ulicę tak się nadymał, jak gdyby dobro całego kraju na jego ramionach spoczywało; czasem spuszczał wzrok w ziemię, gdy sądził, że mu koniecznie wypadnie odkłonić się jakiéj znajoméj osobie, lub skrył się czémprędzéj do sieni jakiego domu, aż pokąd nie przeszła ta osoba, która go powitać mogła. Zdarzyło się raz, iż zdybał także dziennikarza F***. Z-oczywszy go, wbiégł natychmiast do sieni. Dziennikarz spostrzegł to, i zatrzymał się chwilkę, aż pokąd aktor N*** nie wyszedł. »Wpan skryłeś się przedemną, abym cię nie powitał«, rzekł dziennikarz, »nie masz wcale przyczyny. Przed panem N*** jako człowiekiem, byłbym oprócz tego nie uchylił kapelusza, a jako przed artystą, wydaje się mi on na ulicy tak śmiesznym z swoją przesadzoną miną dyplomatyczną, że na przyszłość, ja przed nim do sieni kryć się będę, abym się mu w oczy nie roześmiał.«

Entuzyjazm. Pewien szlachcic neapolitański pojedynkował się czternaście razy dla poparcia swego twierdzenia, że Dante jest większy poeta niż Aryjosto. Na śmiertelném łożu wyznał nareszcie, iż żadnego z nich nie czytał. Również i u nas co do sztuk pięknych podobna zdarza się afektacyja.

Nowy Orfej. W pewném miasteczku w Galicyi ubogi skrzypek grał na prażniku, a nazajutrz wziąwszy skrzypce pod pachę, swobodnie pnścił się do domu. W tém na szérokiem pastwisku, przez które miał przechodzić, spostrzegł ogromnego samopas chodzącego byka, który ryknąwszy okropnie i spuściwszy w dół głowę, prosto ku niemu zmierzał. Przelękniony skrzypiciel chciał się wedrzéć na drzewo, ale z przestrachu stracił odwagę. W tak krytycznem położeniu widząc swoję śmierć przed oczyma, wpadł na szczęśliwą myśl doświadczenia, azali go urok muzyki nie ocali. Chwyciwszy więc drżącą ręką co prędzéj za smyczek, zaczął z całéj siły rzempolić na skrzypcach. Rozhukany buhaj usłyszawszy pierwsze tony, wlepił w niego wzrok osłupiały, potém zaczął rzucać łbem w górę i pryskać nozdrzami, a nakoniec u nóg jego spokojnie się powalił. Muzyk ochłonąwszy z przestrachu, chciał korzystać z téj sposobności, i drapnąć w nogi; lecz skoro zamilkły skrzypce, już buhaj zrywa się znowu, i stawi do boju rogi. Biedny skrzypiciel nie widząc dla siebie żadnego ratunku, rznie w pocie czoła swego nieustanny koncert rogatemu potworowi, i byłby się może tym koncertowym popisem na śmierć zagrał, gdyby byli nie nadbiegli ludzie, którzy go od tego natrętnego miłośnika muzyki uwolnili.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.